

WIECZORY RODZINNE

Władysław Smoleński.

KRYSTYN GOZDAWA.

Przed siedmiuset laty, po obu brzegach Wisły, tam, gdzie Płock i Warszawa, to jest w części kraju zwanej Mazowszem, panował wnuk Bolesława Krzywoustego, książę Konrad. Ojciec, Kazimierz Sprawiedliwy, kilkoletniem odumarł go dzieckiem i nie mógł w synu zacnych swoich zaszczyścić zasad; wyrósł przeto Konrad na młodziana tęgiego lecz bez rozumu i serca. Chociaż w chwili objęcia rządów miał lat szesnaście, żadnej jednak nie okazywał ochoty do czynów, nie nie przedsięwziął dla zjednania sobie miłości narodu lub sławy. Zamiast strzedz granic, ścigać złoczyńców, godzić zwaśnionych i pilnować porządku, po całych tygodniach ze zgrają swawolnych dworzan w puszczech rozległych polował na jelenie i dziki; podczas pobytu w stolicy we dnie spał, w nocy ucztował, słuchając pochlebstw, nedorzeczných piosenek i gawęd.

Próżnował książę, chociaż krainie poważne zagrażały niebezpieczeństwa. Na północ Mazowsza, ku morzu Bałtyckiemu, pomiędzy Wisłą i Niemnem mieszkał lud nieokrzesany, znany pod nazwą Prusaków. Obcą była Prusakom wiara chrześcijańska, obcemi urządzenia społeczne, które w Polsce i innych krajach dla pomyślności człowieka istniały już oddawna. Nie rozumieli oni jeszcze potrzeby pracy i żyli z dnia na dzień, jak zbóje, przeważnie z łupów zdobywanych na ludności sąsiedniego Mazowsza.

Właśnie zuchwalstwo dzikiego ludu do najwyższego dochodzić poczęło stopnia, kiedy Konrad zamiast na granicy czuwać z orężem, wypoczywał po łowach na skórach niedźwiedzi lub ucztował. Przy tak niedbałym i lekkomyślnym księciu zmarniałoby pewnie Mazowsze do szczytu, gdyby nie zabiegliwość i waleczność wojewody Krystyna.

Wedle zwyczajów rycerskich miał Krystyn wyrzynięty na pieczęci znak rodowy, wyobrażający malowaną na kolor czerwony tarczę z bukietem białych lilii w pośrodku, zwany Gozdawą. Wielu Gozdawów, to jest krewniaków, używających owego znaku, do wysokich doszło godności, a wszyscy dużego w narodzie doznawali szacunku. Książętom służyli wiernie, lecz nie płaszczyli się nigdy, umieli owszem w razie potrzeby wytknąć im zdrożność i śmiało powiedzieć prawdę.



Za takie przymioty Kazimierz Sprawiedliwy, jako pan mądry, Krystyna cenił i wyniósł; wojewoda znowu wielką dla księcia miał miłość, którą później przelał na synów jego: owego Konrada i starszego Leszka, zwanego Białym. Osieroconych młodzieńców zawsze z narażeniem osoby swojej gotów był bronić.

On to właśnie wsławiony wojewoda Krystyn Gozdawa, ratował Mazowsze wtenczas, kiedy wewnątrz krainy trapiły rozboje i inne złych ludzi łotrowstwa, kiedy nieokrzesani Prusacy, korzystając z lekkomyślności Konrada, coraz częściej czynili napady i ze zdobyczą bezkarnie do leśnych wracali kryjówek. Krystyn łotrowstwom złodziejów i zbójów położył koniec, sądząc i karząc; Prusaków wielokroć pobił, łupy odebrał i do szanowania granic przymusił. Tak się Krystyn dał Prusakom we znaki, że drżeli na samo o nim wspomnienie. Myśleli, że nie człowiekiem, lecz był jakimś istotą wyższą. Nazywali go bogiem mazowieckim.

Odetchnęli Mazurowie pod mądrymi rządami Krystyna i odzywali się głośno, że jemu by raczej, nie zaś Konradowi przystało być księciem. Lecz gdy zakwitła ku wojewodzie miłość wśród ludu, a ku młodemu księciu lekceważenie rosło i niechęć, — zazdrość ludzi nikczemnych przeciwko Krystynowi uknuła spisek i dzielnego męża zgubiła.

Był już Krystyn w wieku podeszłym, nie rokował sobie lat długich, więc nieraz zastanawiał się nad tem, co się po jego śmierci stanie z Mazowszem, nie znajdował godnego siebie następcy, w Konradzie żadnych nie widział zalet, słusznie przeto niepokoiła wojewodę przyszłość krainy, krewniaków i dzieci. Rozumiał, że młodego księcia możnaby jeszcze na lepszą naprowadzić drogę, więc, niby ojciec, jął się dawania mu mądrych wskazówek i przestróg. Zamykał się często z Konradem w izbie, wyrzucał płochosć i do życia statecznego nakłaniał. Książę udawał pokorę i szczerą do poprawy ochotę; skoro mu jednak wojewoda znikł z oczu, po dawnemu swawolił, owszem, w coraz większe wpadał próżniactwo.

Zaniepokojony tem Krystyn, gdy się razu pewnego licznie panowie zjechali do Płocka na radę, wobec wszystkich zdrożności księcia, wytknął i strofował go ostro. Konrad zapalał gniewem i zemstą, a nienawiść ku wojewodzie umieli podniecić jeszcze dworacy, między którymi rej wodził wysoki urzędnik książęcy, przewiskiem Czapla. On to Krystyna obmawiał, zazdrość w księciu budził, przypominając zdanie powszechne, że wojewodzie raczej, nie zaś Konradowi, przystało być panem korony. Złość srogą tak daleko w końcu posunął Czapla, że rozgłosił, niby rzecz pewną, jakoby wojewoda godził na życie Konrada, jakoby zostać chciał księciem. Konrad złośliwym plotkom uwierzył. Zemstą ku Krystynowi pałając, kazał go pojmać, wylupić mu oczy, do lochu ciemnego rzucić, a potem zabić. Dzieci nieszczęśliwego wojewody kazał wyzuć z majątku i z Mazowsza wypędzić.

Plakał lud mazowiecki po dzielnym wojewodzie Krystynie, cieszyli się dzieć Prusacy, że będą mogli łupić Mazowsze bezkarnie. Jakoż, wypadłszy rychło z kryjówek, wioski palili, lud zabijali, rabowali dobytek. Gdy się zbliżali do Płocka, książę Konrad z żoną i dziećmi haniebnie uciekł i na drugim brzegu Wisły, to w Wiskitkach, to w małej naówczas wiosce, Warszawie, szukał schronienia. Zamiast walczyć, dawał Prusakom odzież i bydło, prosząc, iżby wracali do siebie; skoro podarków zabrakło, zapraszał Konrad

panów mazowieckich na ucztę, szaty i konie zabierał im gwałtem i najezdnikom posyłał.

Zmiarkował książę, jakiej się zbrodni dopuścił, zabijając Krystyna; zrozumiał także, że tylko złość zazdrosnych stworzyła plotkę, jakoby wojewoda czyhał na życie jego i zamierzał zostać panem Mazowsza. Kazał owego Czaplę, jako głównego winowajcę śmierci Krystyna, uwięzić, męczyć i wkońcu zabić; lecz tym postępkim nie uspokoił udręczeń sumienia, ani zabezpieczył krainy od wrogów. Często na długie godziny zamykał się w sobie i w rozpaczy się targał. We dnie i w nocy nie dawały księciu spokoju spełnione zbrodnie i niebezpieczeństwa, wciąż grożące od dzikich Prusaków.

Aż poradzono Konradowi, żeby ku obronie Mazowsza zaprosił rycerzy niemieckich. Jął się książę tej myśli i zakon niemiecki, krzyżackim zwany, który po wyniesieniu się z Ziemi Świętej, beczynnie w Europie czas spędzał, sprowadził w roku 1227, wyznaczwszy im ziemie i zamki.

Oślaniali z początku Krzyżacy krainę od napaści Prusaków, lecz sami się później przeciwko swym dobrodziejom zwrócili i stali się dla kraju plagą najsroższą. Tak więc jedna zbrodnia Konrada pociągnęła za sobą na długie wieki nieszczęścia dla całego narodu.

PIERWSZY SNIEG.

Jak się kłębi tam u góry!
Czyż słońeczko już nie świeci?
Toż z tej wielkiej, sonej chmury,
Istny tuman piórek leci.

Lecą puchy w lewo, w prawo,
Nie przepuszczą już nikomu.
Ludzie pędzą ostro, żwawo,
By je prędzej strząsnąć w domu.

Co to będzie? co to będzie?
Już i drzewom się dostało,
Każdej kępce, każdej grzędzie,
Wszędzie równo, wszędzie biało.

Pola białe, łąka biała,
Kędy znikła rola czarna?
Śnieżna kołdra się zasiała,
By nie zmarzły źdźbła i ziarna.

Cisza, drzemka bezustanna
Już w naturze się zaczyna.
Lecz wraz ńci gładka sanna,
A na wodach lód się ścina.

Niech śpią ziarna, drzemią trawki,
Nim je zbudzi wiosna młoda...
Rozkosz sanny i ślizgawki,
Białej zimie wdzięku doda.

E. Lejowa.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

Podnieśli statek o 500 stóp nad poziom morza; tam mgła nie przesłaniała im widnokregu, tylko zimno stało się jeszcze dokuczliwszem. Temperatura oziębiała się z wielką szybkością, tak, że podróżni zeszli coprędzej do kajut po cieplejsze ubranie.

Gdy po krótkiej chwili wrócili na pokład, zastali już zamieć śnieżną; padający wielkimi płatami śnieg, utrudniał rozejrzenie się po statku, że zaś należało czuwać aby „Latająca Ryba” nie uderzyła o jaką bryłę lodową, przeto baronet i pułkownik zajęli posterunki na dwóch końcach, z przodu i z tyłu okrętu, a profesor z porucznikiem pozostali przy maszynach dla kierowania ruchem. Bardzo potrzebne okazały się te środki ostrożności, baronet bowiem dojrzał zaraz po zajęciu stanowiska występujące niewyraźnie w zmroku, ogromne masy lodowców i zaledwie zdążył krzykiem uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie. Mimo jednak mgły i śniegu, słuch podróżnych doznawał silnych wrażeń. Wycie wiatru nad zamrzniętym obszarem wód, odbijało się w ich uszach niby dźwięki potężnych organów, dotykanych palcami olbrzyma. Do tych dźwięków łączył się niustający huk rozbijanych lodowców.

Naraz śnieg przestał padać, mgła ustąpiła i obraz zniszczenia w całej grozie ukazał się oczom podróżnych. Pod nimi na milę długości rozbite na drobne kawałki lodowce tworzyły wysokie od 50 do 80 stóp stosy rozłamów lodowych. Lód na 15 stóp gruby, miało potłuczony jak kruche szkło, świadczył o strasznej sile żywiołów, powodujących to rozbicie.

Z każdą chwilą jednak zimno dawało się dotkliwiej odczuwać i gdy statek wzniósł się tak wysoko, że mu od lodowców nie groziło już niebezpieczeństwo, baronet i pułkownik powrócili coprędzej do kajuty rozgrzać przeziębłe członki.

IX.

Niebezpieczna przygoda.

W tej samej chwili Mildmay bystrym wzrokiem marynarza dojrzał daleko na północy coś nakształt żagla okrętu, za pomocą lunety przekonał się, że był to rzeczywiście statek otoczony zewsząd lodowcami. Dziwną tylko sprzeczność z różnym położeniem statku stanowiły różnokolorowe flagi, rozwieszane na rejach, jak gdyby załoga jego obchodziła jakąś wesołą uroczystość.

— Czy widzicie ten czarny punkcik w dali? — zapytał porucznik towarzyszy. Statek ten uwiązł w lodzie i stara się wydostać z tych więzów śmiertelnych. Nic jednak nie poradzi, bo najdalej za pół godziny bryły lodowe zmiażdżą go doszczętnie, chyba że nagle wiatr zmieni kierunek, lub my podążymy mu z pomocą.

— Rozumie się, że mu pomódz musimy — odparł profesor i natychmiast przyspieszył ruch maszyny.

„Latająca Ryba” pomyknęła szybko, a Karliński, zostawiając sir Reginalda przy sterze, wezwał pułkownika i Mildmaya, aby szli za nim. Podążyli do tylnej części okrętu i z pod pokładu wydobyli długą, zwiniętą linę drucianą, przeznaczoną do holowania statków. Jeden jej koniec przytwierdzili do kółka na pokładzie.

— Mam nadzieję — odezwał się profesor — że za pomocą tej liny ratunkowej, zdołamy nieszczęśliwych żeglarzy wydobyć z tego strasznego położenia i wyciągnąć szybko ich statek na swobodne od lodu morze.

— Daj Boże — zauważył Mildmay — wątpię jednak czy potrafimy przerzucić tę linę na statek; drut ten bardzo gruby i ciężki, czy nie masz profesorze elastyczniejszej liny?

— Masz słuszność, nie zwróciłem na to uwagi; każdy przecież ma specjalność swoją.

To rzekłszy, profesor oddalił się i po chwili przyniósł inną linę odpowiednich rozmiarów.

Baronet przez ten czas z lunetą przy oczach śledził uwięziony wśród lodów statek i uznał położenie jego za tak groźne, iż przyspieszył gwałtownie bieg „Ryby.” Spowodowało to silny prąd powietrza; profesor, pułkownik i Mildmay, których wiatr o mało nie zmiótł z pokładu, nie mogąc utrzymać się na nogach, na czworakach przyczołgali się do kajuty. jednocześnie od pędu powietrza rozkręcać się zaczęła lina i wplątała się w śrubę, grożąc wielkiem niebezpieczeństwem. Szczęściem baronet spostrzegłszy co się dzieje, wstrzymał ruch maszyny.

Trzeba było niezwłocznie oswobodzić śrubę od tych niespodzianych więzów; podróżni spuścili okręt na powierzchnię wielkiego lodowca, o którego rozpadliny zaczepiono kółtwicę. Mildmay wyszedł na lód i przystawiwszy drabinę, poźdejmował kawałki poszarpanego drutu, potem wraz z towarzyszami zajął się naprawą linki ratunkowej, a gdy to wszystko załatwione zostało i maszyny znówu w ruch puszczono, sir Reginald zapytał:

— Czy płynąc po wodzie, nie pospieszylibyśmy prędzej z ratunkiem nieszczęśliwym żeglarzom?

— Niewątpliwie w taki tylko sposób udzielić możemy pomocy zagrożonemu statkowi — odrzekł profesor. — Spuścimy się też na wodę, jak tylko natrafimy na kanał między lodami.

Po znalezieniu kanału „Latająca Ryba” została spuszczoną na wodę. Mildmay objął ster statku, profesor pilnował maszyn, a baronet przez lunetę upatrywał nieszczęśliwych żeglarzy. Po dłuższem poszukiwaniu dostrzegł ich za ogromną górą lodową i jednym rzutem oka przekonał się, że kilka minut tylko stanowi o życiu lub śmierci tych biednych ludzi, gdyż napierające z dwóch stron olbrzymie lodowce, groziły statkowi zmiążdżeniem.

Wązki przesmyk między lodowcami prowadził ich do miejsca, gdzie stał statek, a przesmyk ten zwęzał się coraz bardziej. Za chwilę „Latająca Ryba” przypląnęła pod okręt.

— Zatrzymać maszyny! — komenderował Mildmay — przysunąć się burtem o ile można najbliżej, a linę ratunkową rzucić na dany sygnał! Musimy się spieszyć, inaczej ratunek będzie zapóźny.

Stosownie do otrzymanego rozporządzenia, maszyny zatrzymane i baronet, występujący ciągle w roli sternika, nadał „Latającej Rybie” ruch wsteczny, przysuwając ją bokiem do zagrożonego statku.

— Baczność chłopcy na linę! — krzyknął Mildmay do załogi, która z otwartymi ze zdziwienia ustami, spoglądała na ukazujący się niby cudem dziwny ten okręt.

— Rzucaj pan! — odezwał się jeden z żeglarzy.

Mildmay ze zrecznnością wytrawnego marynarza podrzucił linę w górę, a koniec jej padając na statek, okręcił się około pasa oczekującego na nią majtka.

— Doskonale! — wołał porucznik — przytwierdzić ją do haków, w ten sposób wyrwiemy was z tych lodów.

— Bóg zapłać panom — dziękował wzruszonym głosem kapitan — już nam do zguby nie wiele brakowało.

Z radosnym okrzykiem zabrali się ludzie na statku do przytwierdzenia liny ratunkowej, poczem baronet z wielką ostrożnością puścił w ruch maszyny i holując za sobą statek, popłynął z powrotem ciasnym przesmykiem, dzielącym dwa olbrzymie lodowce.

Straszną to była przeprawa. Wierzchołki gór lodowych, wysokich na jakie 500 stóp, pochylały się ku sobie i już, już zetknąć się miały. Wszyscy czekali z trwogą uderzenia potężnych brył lodowych, grożących zniszczeniem dookoła.

Szybko zmniejszała się przestrzeń dzieląca podróżnych od najwęższego przejścia; ostry wiatr północny ciał w twarze jak brzytwą, utrudniając jazdę i odejmując nadzieję ucieczki. Zdawało się niemożliwym dla „Latającej Ryby” przesunąć się przez wąski przesmyk, a zwieszające się z góry kryształowe sople groziły nieustannie zawaleniem.

W tej ciężkiej chwili ratunek zależał jedynie od przytomności umysłu baroneta. Zimna krew i rozwaga nie zawiodły go tym razem. Z twarzą trupio bladą, ale z malującym się na niej wyrazem stanowczości, jedną ręką trzymał

Ale można zaczynać od wyrobów łatwiejszych i mniejszych, a więc niepotrzebujących tyle materiału. Może który z naszych czytelników zachęcony temi wzorami, zbierze sobie pewną ilość pudełek od zapalek i skleji jakiś przedmiot, będzie to miła ręczna robota na zimę.



BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dokończenie).

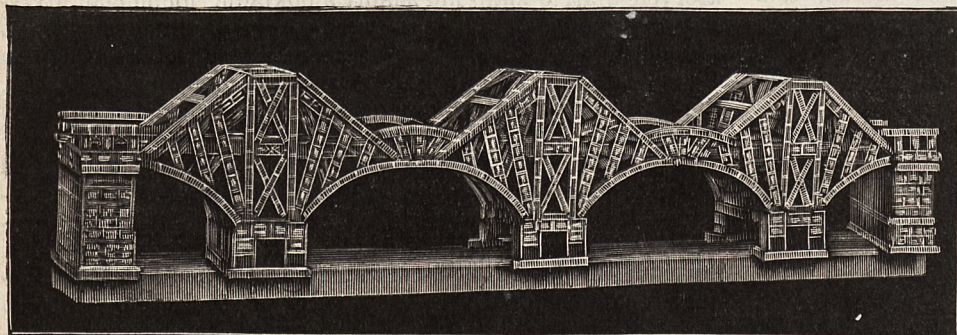
— Która godzina? — dopytywał Tadzio.

— Piąta dochodzi.

Milczeli obadwaj. Myśl, że mogą przepędzić noc pod gołym niebem, bez ognia, bez okrycia ciepłego, na deszczu, zaczęła ich poważnie niepokoić. Droga niby zakłęta ciągnie się i ciągnie, przez lasy, z góry na dół i z dołu do góry i końca niema. Idą tyle godzin i nie wiedzą, gdzie zaszli. Czują ogromne zmęczenie, co a najgorsza wzajemną obawą o siebie: Tadzio taki delikatny, zaziębi się na pewno, skoro tylko iść przestanie.

A nogi zaczynają odmawiać już posłuszeństwa i jak iść zresztą wśród ciemności? Chyba prosto w przepaść.

Tadzio znów drży o Janka. Chorował niedawno na zapalenie oskrzeli, co to będzie? co to będzie? Nie osobliwość w nocy spotkać i niedźwiedzia, a zapalek nawet z sobą nie wzięli. Po prostu rozpacz!



Most na rzece Forth.

ster a drugą koło głównego motoru. W chwili, gdy „Latająca Ryba” wjeżdżała już w wąwóz lodowy i prawie dotykała bokami ścian jego, sir Reginald puścił całą parę i okręt nasz lotem błyskawicy znalazł się szczęśliwie po drugiej stronie na szerszej przestrzeni wodnej.

Czy żaglowiec za nimi zdoła jednak równie szczęśliwie ujść niebezpieczeństwa? Płynął on na linie w długości dwustu stóp, a prąd wody spowodowany przejazdem „Latającej Ryby”, musiał z konieczności przyspieszyć zwanie się lodowców. Baronet rozumiał dobrze, że każdy ruch pędzący powiększał niebezpieczeństwo, ale holował dalej statek z ogromną szybkością, bo nie było chwili do stracenia. Wsparty o parapet Mildmay z bijącym sercem przypatrywał się tej przerażającej gonitwie.

(d. c. n.)

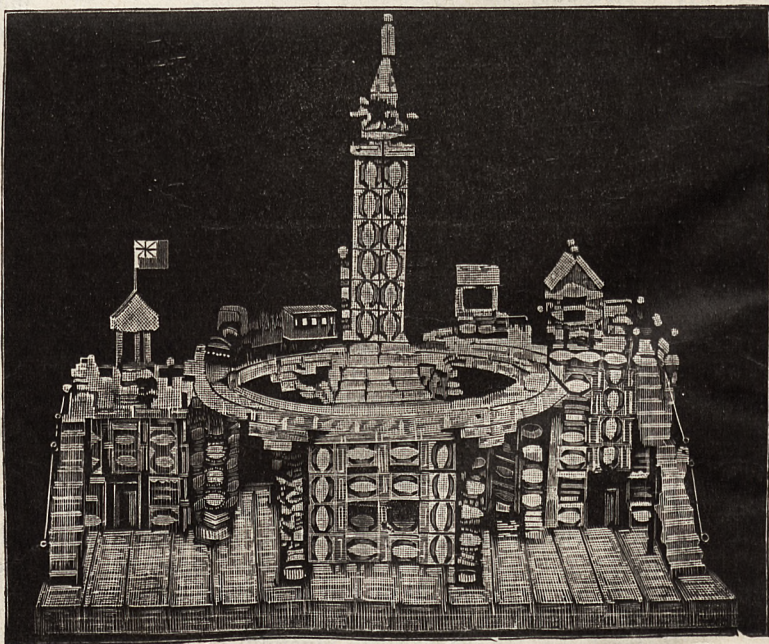


Zabawki z pudełek od zapalek.

Anglicy są bardzo praktyczni i pomysłowi we wszystkich kierunkach. Zarząd pewnej wielkiej fabryki zapalek wpadł na myśl, aby dla rozpowszechnienia swych wyrobów ogłosić konkurs na przedmioty, wyrobione z pustych pudełek od zapalek jej firmy. Wynaczono kilka nagród od 500 do 100 rubli, a za warunki postawiono, aby do każdego przedmiotu użyte były tylko pudełka od zapalek i to niemniej, niż tysiąc sztuk.

Konkurs powiódł się niespodzianie i odtąd co roku się powtarza, powiększając prawdopodobnie zapotrzebowanie zapalek pomyslowej firmy. Ale wywołał on też nowy rodzaj przyjemnego zajęcia na zimowe wieczory, bo okazało się, iż przy pewnej zręczności, można użytkować niszczone zwykle pudełka od zapalek i za pomocą szczyryka i kleju, budować z tego niekosztownego materiału bardzo ładne przedmioty, a mianowicie modele różnych sprzętów, domów, mostów, wież i t. p.

Podajemy tu dwa takie modele nagrodzone na konkursie: pierwszy przedstawia most na zatoce Forth w Szkocji, długości 10 stóp, o wysokości 1½ stopy, do którego użyto 3000 pudełeczek, i wieżę z kolejką okrężną, zrobioną z 1200 pudełeczek.



Wieża z pudełek od zapalek.

— Która godzina, Janku?

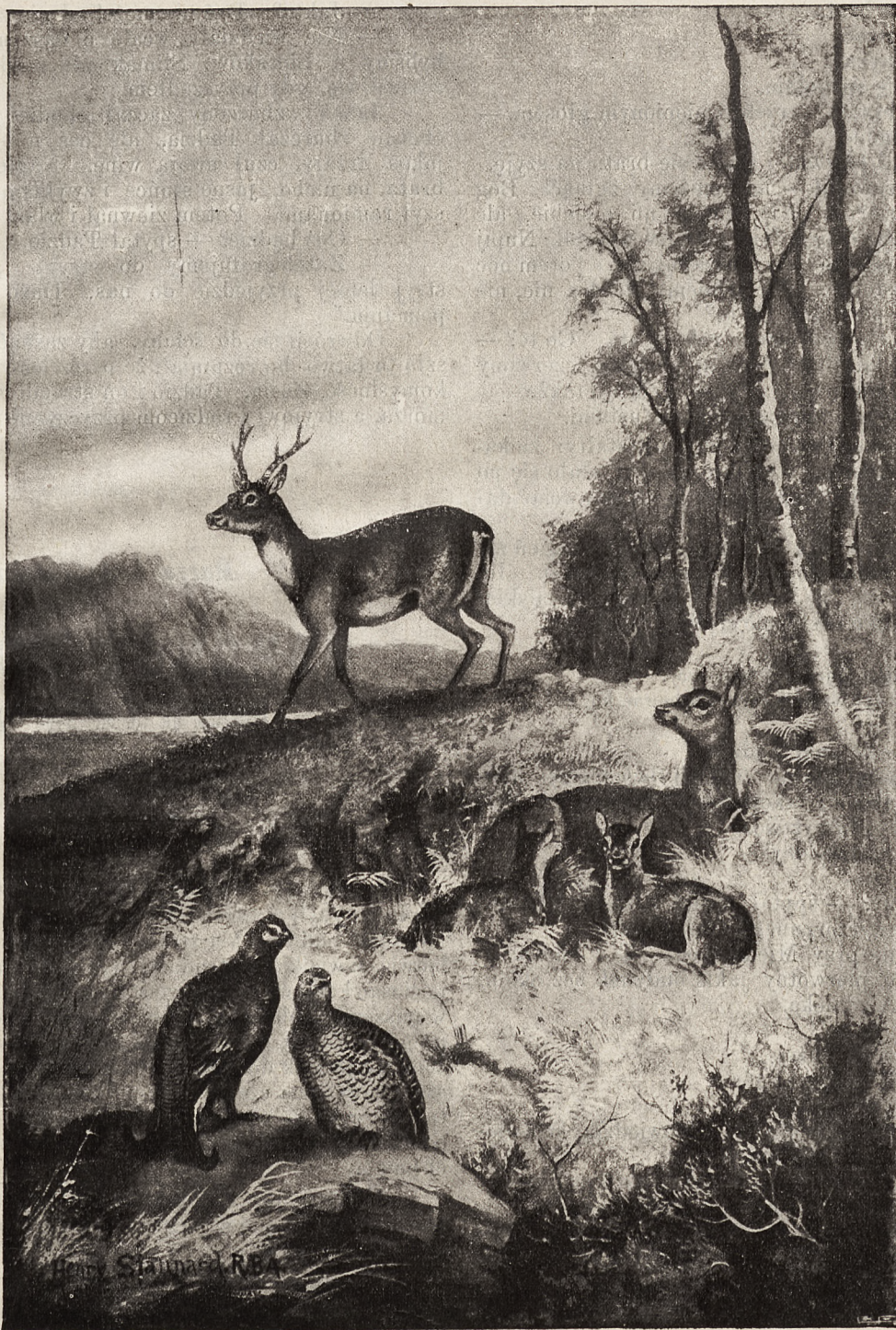
— Trzy na siódmą.

— Słońce około 9 zachodzi.

— Nie w górach i nie w dzień pochmurny.

Istotnie, w pół godziny później zrobiło się prawie ciemno. Z każdą chwilą wolniej mogli posuwać się naprzód, widocznym było, że wkrótce stanie się to niepodobieństwem.

— Masz wino? — spytał Janek. Na... szaczkę,



NA SKRAJU LASU ODRZEWAJĄCE SARNY I GUSZCZOK.

- Nie mogę, mam wstręt do wina.
- Rozgrzejesz się.
- Nie czuję zimna.
- To daj mnie, ja się napiję, wiatr taki chłodny, że ubranie pod niem sztywnieje. Nie mam pojęcia, jak przepędzimy noc bez ognia.
- Żeby choć deszcz nie padał.

Mżyło jednak ciągle, a mgła lekka przybierała fantastyczne kształty. Chłopcy nie śmieli stanąć, czuli, że ruch to ich jedyny ratunek, ale drogę zębili dawno. Szli, aby nie stać.

Nagle Janek ryknął jak zwierzę ranione i rzuciwszy się na ziemię, krzyknął z całej piersi.

Tadzio przerażony pochylił się nad nim.

— Co ci jest, Janku? Janku! Ja się boję!

Lecz Janek ryczał, aż mu tchu zabrakło.

— Czy cię co boli?

— Wściekam się, szaleję, ja nie chcę tu nocować!

— To nic nie pomoże.

Janek spojrział na brata

— Może kto usłyszeć.

— Niedźwiedź chyba.

Janek podniósł się spokojnie.

— Więc gińmy, bracie — rzekł zmienionym głosem. —
Przebacz mi, to przezemnie.

Tadzio wybuchnął płaczem i rzucił się bratu na szyję.

— Nie, nie! — zawołał — nie możemy zginąć! Bóg jest dobry, jest miłosierny. Nie chodzi mi o siebie, ale mama, Zosia, ojciec nasz drogi! Nie, Bóg nie pozwoli. Napij się wina, to cię rozgrzeje, skaczymy, ruszajmy się; a potem noc krótka, zaświta może słońce. Nie zginiemy, Janku, nie, nie zginiemy, Pan Bóg nie pozwoli! Co to?

Krzyknął nagle i chwycił mocno rękę brata. Co to? — powtórzył, ukazując w dali blask jakis niewyraźny, czerwony i mglisty, niby ogień czy światło. Janek ujrzał je także.

— Bóg miłosierny — szepnął drżącymi ustami.

Światło jednak szczególne przybierało kształty: znikająco, gasło, wybuchowało znowu, strzelało znowu, słało się po ziemi i niby uciekało. Szli teraz wytrwale, a ono wciąż daleko.

Nakoniec wyraźnie widać postacie ludzkie: ogień się pali na ziemi, a ludzie wkoło dziwne wyprawiają skoki. Jeden przystanął, ujął się pod boki i huknął góralskim śpiewem, w którym trudno rozróżnić słowa:

Uczyła mnie matka śpiewać i tańcować,
A ojciec mnie uczył wziąć i dobrze schować hu, ha!

— Rozbójnicy! — szepnął Tadzio.

Ale Janek potrząsnął głową. Górali dwóch tylko było i dwóch „gości” w serdakach i zakopańskich beretach. Widocznie odpoczywające towarzystwo.

— Niech będzie pochwalony!

Zwrócono się ku nim.

— Gdzie jesteście? — spytał Janek drżącym głosem, podtrzymując zupełnie wyczerpanego z sił Tadzia.

— A za Mnichem, przy Miedzianem. Toć koleba! — dodał góral, wskazując pierwotny jakiś budynek bez okien, przytulony do skały. A zdaleka.

— Z Morskiego.

Gromadka skupiła się bliżej.

— Długo szliście? — spytał góral.

— A od rana.

Wybuch śmiechu górali całą był odpowiedzią, lecz nieznajomi zbliżyli się teraz do chłopców.

— Niech panowie wypoczną — rzekł jeden życzliwie. —

Może i przenocujemy w tem schronisku, mimo niewygód i zimna, bo nie mamy odwagi kończyć drogi po ciemku, choć przewodnicy z nas żartują. Ale panowie ziębli i przemokli, oto pleć suchy, serdak; Wacek, dajno nam koniakul!...

V.

...Na miękkim materacu, pod wełnianym kocem, w czystej, suchej białźnie Janek spał snem zdrowym, gdy drzwi znanego nam już pokoiku na Chramcówkach skrzypnęły cicho i Tadzio w mundurku, z wyrazem pomieszania na bladej twarzy, stanął w progu.

Powoli drzwi zamknął za sobą i zbliżył się do brata: budzić czy nie budzić?

Janek otworzył oczy.

— Wstałeś? — spytał zdziwiony.

— Byłem u nich.

— U Zosi?

Chłopiec skinął głową.

— Powiedziałeś?

Tadzio milczał chwilę.

— Gadajże!

— Wróciły pozawczoraj, a wczoraj pojechały do Szczawnicy.

Janek usiadł na łóżku.

— Jakto? Być nie może! I nie czekały na nas?

— Nie wiedziały wcale o naszym przyjeździe. Nie byliśmy u Liptaków, Slimak nie zawiadomił, Liptakowie zdziwili się, gdy przyszedłem.

Janek wzburzony zaczął chodzić po pokoju. Byłby chętnie zburzył Tadzia, ale coś nie mógł, nozdrza mu jakoś drżały, czuł swoją winę. Nagle stanął, spojrział na brata, na niebo, jasne słońce i zwykłym swym gestem wzruszył ramionami. Potem ziewnął i wlaż pod koldrę.

— Cóż będzie? — spytał Tadzio.

— Zatelegrafujemy do stryja: „Zostajemy. Niech stryj lepiej przyjedzie do nas. Dużo tu jeszcze rzeczy do poznania.”

Odwrócił się do ściany, aby zasnąć znowu, ale nie poszło to łatwo, bo rozumiał, że przez jego zarozumiałość i lekomyślność, Zosia, Tadzio i on stracili sposobność poznania morza, a stryjowi i rodzicom przyczynili przykrości.

C. Niewiadomska.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

XIII.

Przemienęła już piękna wiosna, nastąpiło lato upalne; do Kielc przybyli wreszcie Benedyktyni, wysłani z Monte-Cassino, choć budowa klasztoru nie była jeszcze rozpoczęta; za ledwie z wielkimi trudami udało się naćcinać dość drzewa i ociosać kamieni potrzebnych. Lecz pomimo wszelkich zasadzek w puszczy, Dobrogost dopiął swego; robotnicy pracowali już na górze Łysej, a huk topora rozlegał się po okolicy. Strzeżono się jednak dobrze; podczas roboty kilkunastu zbrojnych stało zawsze na czatach, by uniknąć nagłego napadu. Mimo to, zdarzyło się parę razy, że gdy który z drwali nadto się oddalił od towarzyszy, zniknął nagle, jakby go ziemia pochłonęła.

Przybył już i budowniczy z Niemiec, wraz z kilku pomocnikami, i kamień węgielny świętej budowy wkrótce miał być umieszczony.

Od króla nie było dotąd żadnej wieści; wojował kędyś za Elbą i nikt w kraju nie wiedział, co się z nim dzieje. Między ludem jednak, po siołach zapadłych wśród puszczy rozchodziły się pogłoski, że Bolesław poległ w boju; przychodziły one nie wiedzieć skąd, z powietrza, a lud im wierzył. Działów też coraz więcej włościło się po wioskach a były między nimi postacie, których nikt pierwiej nie widział; niepokój też powstał między niektórymi władkami, bo wśród ludu poddanego dostrzegać się dawał ruch jakiś dziwny, a nieraz i słowo jakieś, i spojrzenie padało znaczące ukradkiem i dawało wiele do myślenia. Dobrogost nakazał wprawdzie, by każdego podejrzanego dziada natychmiast chwytano i prowadzono do Kielc; w paru wioskach tak nawet zrobiono, lecz któż mógł ustrzedz od tego okolicę, pokrytą nieprzebytymi borami i poprzerynaną wąwozami, gdzie sposoby porozumienia się były tak trudne, że o wielu leżących wśród puszczy wioskach nie wiedziano wcale.

W jednym nawet miejscu zdarzył się napad na kościół,

lecz mieszkańcy wsi obronili księdza, którego poganie chcieli zabić.

W ogóle jednak ruch ten nie przybrał dotąd rozmiarów, jakich się spodziewał Masław; śmiałości, zapалу, wiary w powodzenie brakło; na każdym kroku widać było, że wszystko to jest sztucznie wywołanem. Spokojna ludność rolnicza, kmiecie osiadli, stali do tych podburzań wprost nieprzyjaźnie, całe oparcie więc było na pół dzikich mieszkańców puszczy, zachowujących dawną wiarę, ale ci byli zdolni tylko do skrytych napaści wśród lasu. Prócz tego poganie mieli kilka gródków, mogących im służyć w razie potrzeby za schronienie, a należących do owych starych władcyków, którzy wraz z kapłanem Borunem czcili jeszcze starych bogów.

Nie szło więc tak jak się zrazu spodziewał Masław, nie spieszono doń jak do oswobodziciela dawnej wiary, nie garnięto się do jego boku.

Wszystkich kępowała obawa powrotu króla, strach przed jego gniewem, nikt więc nie chciał naprzód się wysuwać. Nadaremnie Masław się wysilał, by tchnąć swój zapal w towarzyszy, nie mógł tego dokazać. Mimo to ufność w siebie nie opuszczała go; w pieczarze Rokitki widział przyszłe swoje wielkie losy i pewnym był teraz powodzenia własnych zamiarów. Kilka razy, w rozmaitych okolicznościach, doświadczył pomocy chytręgo tego króla, pomoc ta przychodziła zwykle w sposób tajemniczy, lecz domyślał się z jakiegoś pochodziła źródła; wiedział także, że wszystkie owe dziady, chodzący po wioskach, podlegają władzy Rokitki, i z jego rozkazu podburzają ludność.

* * *

Benedyktyni, przybywszy do Kielc, sami natychmiast zajęli się czynnie budową klasztoru, Dobrogost też posłał oddział zbrojnych pod wodzą rycerza Sławka, by szli naprzód, oczyszczając drogę, za nimi zaś wyruszył budowniczy ze swymi pomocnikami oraz gromadą miejscowych robotników, przydanych mu do pomocy. Dwóch Benedyktynów udało się z nimi, by dodawać ducha ludziom, oraz pobłogosławić miejsce i kamień węgielny przyszłego kościoła. Jeden z zakonników był już stary i zwano go O. Augustyanem, młodego zaś towarzysza jego, zwano bratem Angelo.

Był pogodny ranek letni, gdy ruszono w drogę, dzień zapowiadał się gorący, lecz teraz w powietrzu panowała świeżość rozkoszna. W puszczy, pod sklepieniami z zieleni, było nawet dość chłodno.

— Czy w tym kraju nigdy ciepło nie bywa — szeptał O. Augustyn, który drżał od zimna w wilgotnej puszczy. Staruszek modlił się po cichu, bo te straszne bory, jakich nigdy w życiu nie widział, przejmowały go trwogą; jednakże poleciwszy się opiece Boskiej, jechał spokojny.

Brat Angelo przeciwnie, nietylko nie doznawał żadnego niepokoju lecz zdawał się nawet z przyjemnem uczuciem zapuszczać w głębie boru, rozglądał się dokoła, jakby otaczające przedmioty miały dlań szczególny jakiś urok i mówił do ojca Augustyna:

— W snach nieraz widywałem podobne puszcze, z takimi samymi gąszczami, mechami i łomami suchych gałęzi.

Początek podróży odbywał się dość wesoło i rażno; nie była to jeszcze owa zawalna puszcza, która rozpoczęła się dopiero u samych stóp gór Łysych. Niektórzy z pacholków zaczęli śpiewać jakąś piosnkę wesołą, inni przygrywali na lipowej ligawce, a echo niosło głos ten po lesie.

Brat Angelo z przyjemnością przysłuchiwał się owym odgłosom, lub też zbliżywszy się do przewodnika, rozpoczął z nim rozmowę, bo choć tak niedawno przybył z włoskiej ziemi, nauczył się miejscowej mowy z zadziwiającą łatwością. Wszyscy towarzysze podróży odrazu uczyli pociąg do tego młodego księdza, wesołego jak dziecko i ujmującego każdego swą serdeczną dobrocią.

On zaś mówił niekiedy do ojca Augustyna:

— Jaki to lud dobry i poczciwy: Im więcej go poznaję, tem więcej go kocham; pragnąłbym z całej duszy być mu pomocą we wszystkich jego nędzach. Ciemny on jeszcze

i dziki, jak te jego puszcze, ale naturę ma szczerą i nie zepsutą. Niech będą dzięki Bogu najwyższemu, że mi dał takie pole do służenia Mu i pracowania dla dobra bliźnich. Bo czemuże ja, najędźniejszy ze sług Jego, na to zasłużyłem? Dotąd niczem jeszcze nie dokonał ani wycierpiał dla chwały Jego — szczęśliwym się czując, że mogę wielbić Go w pokoju; teraz dopiero zacznę pracować w winnicy Pańskiej. Jest tu bowiem jeszcze tak wiele, tak wiele do zrobienia!

Gdy to mówił, oczy jego błyszczały niezwykle jasnym zapalem.

Pół dnia upłynęło bez żadnych wypadków, ale Sławko, jako doświadczony, radził mieć się na baczności, mawiając swoim ludziom:

— Dyabeł nie śpi; nie dufajcie tak bardzo w tę ciszę i spokój, nie wiecie co w sobie kryją.

Gdy mrok zapadł, zatrzymano się w głębokim wąwozie i tam rozłożono obozowisko. Po drodze ubito kilka sztuk zwierzyny i natychmiast rozpalono wielkie ognisko, aby ją upiec. Sławko kazał wozy ustawić w czworobok, konie puścić na małą łączkę nad wodą, dokoła zaś porozstawiał czaty, mające się zmieniać z północy.

Noc była cicha i ciepła; przez wierzchołki drzew widać było połyskujące gwiazdy. Ponad głowami podróżnych kołysały się poważnie szczyty jodeł olbrzymich, a mały strumyczek szemrał wśród ciszy nocnej. Od czasu do czasu po wierzchołkach puszczy rozbrzmiewało coś, niby przeciągłe a głębokie westchnienie, rzekłby z piersi uspiętego człowieka. Czasem znów huk silny, powtórzony przez echo, przerywał ciszę: to olbrzymie, spróchniałe drzewo upadało gdzieś od starości. Miejscowi ludzie, przywykli do owych nocnych głosów, spali spokojnie, ale O. Augustyn zrywał się ze snu i żegnając się, szeptał strwożony:

— Sancta Maria! To z pewnością szatan tak się z nas naśmiewa!

— Nie bójcie się, ojcze, to tylko puhacz — mówił któryś z robotników, zbudzony jego szeptem. Ale biedny zakonnik nie chciał temu wierzyć i wciąż szeptał modlitwy.

Tymczasem Sławko obchodził wszystkie czaty, aby przekonać się czy nie śpią:

— To wy, Sławku? — zapytał go jakiś głos w ciemności, gdy przechodził koło rozłożystego drzewa.

— Tak, to ja, a czuwacie tam?

— Juści nie śpiemy.

Sławko poszedł dalej, lecz zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy dziki okrzyk rozległ się w gęstwinie, gromada ludzi wypadła z zarośli i rzuciła się na obozowisko. Spiący porwali się na nogi, Sławko na czele swych ludzi, z dobytym mieczem rzucił się na napastujących; w ciemności słychać było jak się zwaryły te dwie kupy i jak topory i maczugi uderzały o miecze, konie popłoszone poczęły rżec i rozbiegać się po lesie. Napastnicy, wydawszy swój pierwszy okrzyk, potem znów milczeli i cała ta walka nocna odbywała się wśród głuchej ciszy, przerywanej tylko szcękaniem żelaza, zgrzytem zębów, cichem przekleństwem lub westchnieniem rannych i umierających.

Straszne były te zapasy, w których jedni drugich prawie nie widzieli i częstokroć swoi na swoich się rzucali, a wrogi chwytali się wpół i mocowali w ciemnościach, wśród najgłębszego milczenia, aż dokąd jeden z nich nie zmógł przeciwnika.

Wreszcie ludzie Sławkowi poczuli, że napastnicy zaczynają słabnąć i cofać się ku zaroślom; wkrótce też opuścili zupełnie pole bitwy, unosząc swoich rannych, a zostawiając kilku trupów. Pozostali nieśmieli ich ścigać w ciemności, z obawy zasadzki; Sławko kazał pozapalać ognie, i przy ich świetle obejrzano plac boju i pozbierano rannych, których opatrzone.

Reszta nocy przeszła spokojnie; ranek zaświtał błękitną barwą nadając otaczającej zieleni, gwiazdy gasły jedna po drugiej, senny świegot ptactwa rozległ się wśród gałęzi, lekkie tchnienie wiatru zakołysało wierzchołkami jodeł... puszcza budziła się...

Gdyby nie ślady nocnej walki i rany u niektórych z żołnierzy, można było myśleć, że to sen tylko, że ona wcale nie istniała, tak wszystko dokoła zmieniło się pod wpływem słońca i życia, które wraz z nim spływało.

Ojciec Augustyn rozkazał pochować ciała poległych, co natychmiast spełniono, a na mogiłach rozpalono ognie, żeby dziki zwierz ich nie rozgrzebał.

Tabor udał się w dalszą drogę, która była dziś uciążliwszą niż wczora, bo grunt podnosił się coraz bardziej w górę, coraz więcej wawozów spotykano i z wozami szczególnie było bardzo ciężko. Ludzie też, utrudzeni nocną walką, nie tak już ochoczo szli jak wczoraj.

Obaj zakonnicy, jak zawsze poprzedzający tabor, zanucili śpiew pobożny, który echo powtarzało i niosło gdzieś w dal.

Ave Maria rozległo się może poraz pierwszy pod sklepieniami dzikiej puszczy. Dziwili się ludzie i z zachwytem słuchali śpiewu pobożnego i uroczystego, śpiewanego zgodnymi głosy, i drzewa dziwiły się, usłyszawszy te nieznanne im dźwięki i szmerem swym wtórczyć im się zdawały...

XIV.

Przybyto wreszcie szczęśliwie na szczyt góry Łysej: robotnicy pracujący już tam nad ścinaniem i obrabianiem drzewa, powitali z radością nowoprzybyłych opowiadając o ciągłych napaściach pogan. Stosy drzewa i kamieni stały już gotowe do budowy, lecz nim przystąpiono do niej, O. Augustyn miał odprawić mszę w tem miejscu, by Pan Bóg pobłogosławił przyszłemu dziełu, poczem dopiero miano położyć kamień węgielny przyszłego kościoła.

Ustawiono ołtarz z prostego, porośniętego mchem kamienia, wszyscy ludzie Sławka, oraz robotnicy, zgromadzili się dokoła, z drugiej strony stał majster Hans z Kolonii z kielnią w rękę, a za nim jego podwładni ustawili się szeregiem; O. Augustyn przygotował wszystko do świętej ofiary i msza się rozpoczęła.

Dzień był jasny i słoneczny i cała okolica, leżąca u stóp gór, było teraz widną, jak na dłoni. Pasma gór, aż do Łysicy, godnej siostry góry Łysej, wznoszącej się na drugim końcu łańcucha, widać było wyraźnie; górzysty brzeg Wisły, wraz ze wzgórzami Pieprzowami. Sandomierz, okryty mgłą błękitną, bliżej Kielce, a tam daleko, daleko, jak gęste chmury sine i poszarpane, widniały Karpaty.

Gdy msza się rozpoczęła, powietrze było zupełnie spokojne, tak, że nawet płomień świec, gorejących na ołtarzu, wznosił się prosto w górę. Dokoła głęboka panowała cisza i tylko słychać było, jak ptaszki szczebiotały na drzewach pobliskich.

Lecz nagle wierzchołki puszczy zaczęły szumieć głucho, naprzód w oddali, potem coraz bliżej i bliżej; jedne drugim podawały szum ten, aż wreszcie cała puszcza ryknęła grznie, ze swych najdalszych głębin, jakby sprzeciwiając się wprowadzeniu innej czci tutaj, gdzie stare bogi dotąd jeszcze panowały w całej swej groźnej dzikości, jakby sam Świsł-Poswisł poraz ostatni stanął do walki z Bogiem chrześcijan.

A wystąpił on do tej walki z całą potęgą. Od tchnienia jego gięły się wierzchołki drzew stuletnich; na niebiosą błękitne zarzucił czarny płaszcz z chmur gęstych i szedł, szedł silny, niepowstrzymany, tumany pyłu, liści, igieł sosnowych pędząc przed sobą, na znak, że zbliża się król burzy.

Ludzie, osłepieni i ogłuszeni tym nagłym buntem żywiołów, zakrywali oczy i chronili się pod skały; lecz wicher ten jak przyszedł, tak poszedł; w kilka chwil wszystko uspokoiło się i ucichło, słońce wypłynęło znów na niebo; w dole tylko puszcza szumiała jeszcze głucho.

Msza ciągnęła się dalej, a dźwięk dzwonka i drżący głos ojca Augustyna panował nad szumem drzew, a gdy kapłan zawołał po trzykroć: Sanctus, Sanctus, Sanctus! głowy pochyliły się w pokorze, a wierzchy drzew także się gięły, jak-gdyby chcąc zaświadczyć, że odtąd bóg pogański przestał tu panować, lecz począł rządzić Pan, stokroć potężniejszy, który nietylko nad burzą, ale nad całym niebem i ziemią króluje niepodzielnie.

Od tego dnia budowa klasztoru, rozpoczęła się na dobre, zaczęto stawiać podmurwanie na kościół, jak zwykle w kształcie krzyża, a majster Hans zapewniał, że będzie to kościół, jakiego nie było dotąd w państwie Bolesława. Wszyscy też z gorliwością i zapałem spełniali jego rozkazy, a brat Angelo dodawał zachęty.

Od czasu przybycia, spokój trwał ciągle; poganie nie dawali znaku życia i można było myśleć, że się zniechęcili do własnej sprawy. Tylko Sławko wciąż kręcił głowę w milczeniu, i po nocach nakazywał baczność strażom.

* * *

Nad uroczyskiem, gdzie poganie się zgromadzali, noc zapadła, a nikt jeszcze dotąd nie przybył.

Ogromne, czarne kamienie tylko wznosiły się nieruchomie, wśród nich stała postać samotna. Był to kapłan Borun.

Jego lniana szata bieląca w nocnych cieniach, oczy podniósł ku gwiazdom, błyszczącym na niebie, a wiatr nocny rozwiął siwą jego brodę.

Sam jeden w tem miejscu dzikim, oczekiwał na mających się dziś zgromadzić czcicieli starych bogów, sam jeden pogrążony w ponurych dumach, stał, podobien posągowi z kamienia. W ostatnich czasach twarz jego jeszcze bardziej się postarzała, postać ugięła się ku ziemi, usta przybrały wyraz bolesny, jakby niczego już nie spodziewał się na tym świecie.

— Wy odchodzicie, wielcy bogowie — mówił, spoglądając w niebo, odchodzicie, zagniewani, że lud, któremuście tyle łask wyświadczyli, któremu dawaliście zawsze zwycięstwo nad wrogiem, obfitość płodów ziemskich, opiekę potężną, że lud ten niewdzięczny odwrócił się od was.

Odchodzi Jesse, wszechstworzyciel, którego dziełem są niebo i ziemia, którego istota przenika wszystko.

Jesse, to znaczy: ten co jest, to wielka istność, która daje początek wszystkiemu, co żyje.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Krystyn Gozdawa przez Wł. Smoleńskiego (z ryc.) — Pierwszy śnieg, wiersz przez E. Lejową. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Zabawki z pudełek od zapalek (z ryc.) — Bez przewodnika — Na skraju lasu (rycina) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Jak to nie trzeba zbyt ufać sobie, wiersz (z ryc.) — Na strychu. — U ciotki Polci (z ryc.) — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek ksiązkowy: Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

WIECZORY RODZINNE

Jak to nie trzeba zbyt ufać sobie.

Czarnula i Siwek dwa przystojne szczury
Pod okiem swej matki skromnie się chowały,
Spichlerza starego opuszczone mury
Dotąd znały tylko i dobrze się miały.

Ale otóż trzeba, że spokojne życie
Sprzykrzyło się młodym, więc rauka pewnego,
Poszły w świat szeroki, by w nim należycie,
Użyć raz do syta wszystkiego dobrego.

— Kto śmiały, odważny, ten nigdy nie traci,
Tchórz tylko niech siedzi całe życie w norze,
Łęklivość zbyt dużą niech głodem opłaci;
Z nas każde już sobie w potrzebie pomoże!

Tak zbyt ufając w swój rozum i siłę
Swobodnie hulają oba młode szczury,
A życie wesołe, a życie tak miłe
Zdaleka od nudnej w spichlerzu tem dziury.



Zdyszane, spotniałe, bezprzytomne prawie,
Nie wiedząc co począć w tej straszliwej dobie,
Wróciły do spichrza w największej obawie...
Nie trzeba więc nigdy zbyt ufać sobie.



Aż zdarzył wypadek, że w wędrówce śmiałej
Znalazły raz jakiś kosz szczelnie nakryty,
— O, już tam być musi rzecz wagi nie małej,
Oj, będzie posiłek wyborny, obfity!

Zbliżają się żwawo i na łapkach stają,
Chcą poznać co koszyk dobrego ukrywa,
Wzajemnie go zdobyć sobie pomagają.
Aż oto, o zgrozo... poczwara straszliwa

Wychyla łeb wielki, groźny z koszyka,
I łapę wysuwa z ostreimi pazury...

Żółtymi ślepiami, jak ogniami błyska...

A nigdzie schronienia — ni znajomej dziury.

— To kot, kot przebrzydły, o biada nam, biada—

Wołają wylekłe i biegną co siła,

— On straszny, okrutny, on nas tu pozjada,

Bo przecież nim zawsze nas matka straszyla!

Na strychu.

Śnieg zasłał całą ziemię, zlodowaciałe drzewa błyszcząły jak brylanty, na świecie było zimno i pusto. Była to noc zimowa, kiedy ludzie otuleni w poduszki i kołdry, śpią i śnią może o pięknej zielonej wiosnie. Psy nawet wtuliły się w głąb budy, kot zapomniał o myszach, a myszy o niedogryzionem słoninie.

Tej właśnie zimy, lecz w jasną noc, na wysokim, nieopalonym strychu pewnego zamożnego domu, było strasznie gwaro. Zebrane tam towarzystwo, korzystając ze swobody, rozgadało się na dobre.

Najpierw wyrzekął głośno stary parasol o nadłamanej ręczce i pokrzywionych drutach.

— Nie, moi panowie, stanowczo wam powiadam, że już w tej norze wytrzymać dłużej nie mogę, bo choć stary jestem, wiem do czego służyłem w młodości i czuję, na co się jeszcze dzisiaj zdać mogę.

— Ja również — przerwała mu wypłowiała czapka — nie poniewierałam się pod starą miotłą, ale siedziałam na głowie bardzo porządnego człowieka. Codziennie rano...

— Co tam waćpani — przerwał znowu parasol — pani siedziała tylko na głowie, a mnie nad głowę noszono, hę! Kto z nas był wyższy na świecie?

Tu stara miotła zaszeleściła z oburzenia:

— Pani czapka z mojej starości sztydzi, a nie wiem kto to starszy?

Na te słowa westchnęła cicho wytarta miotła, za

miotelką mruknęły kalosze, za kaloszami jęknął zgięty lichtarzyk, za lichtarzykiem podniósł się już chór cały, przeróżnych zmieszanych ze sobą głosów i gdyby ktokolwiek wszedł teraz na to poddasze, przysięgłby, że cały tłum zuchów wybiera się na wojnę.

Wrzało, grzmiało, huczało i trudno przewidzieć czy by się to tylko na słowach skończyło, gdyby nagle czysty, srebrzysty głos leżącego w rogu dzwoneczka nie zawołał:

— Ciszej, ciszej, szanowni państwo. A toż karczmę urządziliście tutaj.

Na te ostre, lecz słuszne słowa, umilkło zawstydzone towarzystwo, a dzwonek korzystając z tego, rzekł dźwięcznym głosem:

— Pan parasol, tu skłonił się, pan parasol — powtórzył — zupełną ma rację. Ja sam, tu westchnął dźwięcznie, ja sam już dawno trapię się mojem przymusem próżniactwem. I nie wiem doprawdy, dla czego ludzie tyle pożytecznych jeszcze sprzętów skazali na zniszczenie?

Wszystkich nas martwi to serdecznie i wszyscy widzę, mają ochotę uzalić się na swą dolę. Dla czegoż więc kłócić się zaraz mamy? Ja proponuję, aby kolejno wszyscy zabrali głos i wypowiedzieli pragnienia swoje. Może jaka przyjazna dusza usłyszy nas i wysłucha.

Na te spokojne i rozumne słowa dzwonek, towarzystwo całe zaszemrało przyciszonym uwielbieniem, a mówca kłaniając się uprzejmie, dodał:

— Słuchamy pana Parasola.

— Noszono mnie wysoko — rzekł parasol — najczystsze krople deszczu spadały na mnie, a jasne promienie słońca suszyły w mgnieniu oka. Porządni ludzie osłaniali się mną lub wspierali na mnie i tego zapomnieć nie mogę. Prawda, że silny wiatr, mój zacięty wróg, pogiął mi raz druty, a jakiś nieuważny chłopczyk złamał rączkę; ale wiem, że takie złamania się leczą.

Dla czegoż więc i mnie uleczyć nie chcą? Pan parasolnik uczyniłby to z ochotą. Widziałem wprawdzie, że mój dawny właściciel kupił sobie już mego krewnego i paradytuje z nim po świecie; ale... gdy widzę przez szczylinę w dachu, jak ten biedny staruszek co mieszka na przeciw, w deszcz i śnieżycę bez żadnej ochrony wychodzi do kościoła, to powiadam państwu, że mię rozpacz ogarnia. Takbym się mógł przydać temu biedakowi, a tak marnieję w tej norze!

— I ja tego pana widuję — odezwała się czapka — i czuję doskonale, że jeszcze ciepłem mojem ogrzałabym go lepiej od jego kapelusza, który na jesień nie na zimę jest dobry. Słowa te wyrzekła tak pocziwie, że dumny parasol skłonił się przed nią i rzekł:

— Przepraszam za poprzednią moją niegrzeczność, może się kiedy zejdziemy u tego biedaka.

— No, to i ja przepraszam pannę Miotłę — rzekła czapka, zachęcona dobrym przykładem i skłoniła się również.

— Ja — rzekła miotła — jednego już tylko pragnę — oto, żebym mogła raz jeszcze moją kuchnię zobaczyć i żeby pocziwa Marysia choć raz jeden rozpalaniem ognia męczyć się nie potrzebowała. Niechbym wreszcie na zakończenie mego życia posłużyła jej za podpałkę i jasnym blaskiem rozświeciła moje dawne mieszkanie.

— Pocziwa brzezina, pocziwa, słowo państwu daje — ozwał się donośny głos butelki. — Ja także chciałabym jeszcze kiedy pobujać po świecie, ale o takim poświęceniu nie pomyślałam nawet.

— My — zawołały zgodnym głosem stare kalosze — my chciałybyśmy jakie pocziwe trzewiki od brudnego błota uchronić, choćby tej biednej szwaczki, co tak kaszle, gdy wraca do domu. Przemacza biedactwo nogi, a mybyśmy ją od tego zabezpieczyły, bo przecież dość jeszcze zdrowe jesteśmy.

— Ja nosiłem światło! — zawołał zduszonym głosem pogięty lichtarz — chciałbym być podarowanym Jaśkowi, co to po nocach całych ślęczy nad książkami; a w dzień froteruje podłogi, Obsadziłby swoją łojówkę.

— I jabym mu się przydał — dodał stary stołek.

— A ja to nie? — wykrzyknął mały stoliczek... — Biedny chłopiec na ziemi się uczy!

— Ja fruwałabym jak ptaszek w powietrzu — zawołała zmięta piłka — byle mię tylko nadać i zalepić, jeszczebym się biednym dzieciom przydała.

— Ja przydałabym się jeszcze do wyczyszczenia mundurka stróżowemu siostrzeńcowi, który tak ciężko na chleb i naukę pracuje — szepnęła miotelka.

— A panie? — zapytał dzwonek kilku rozrzuconych książek.

— My... — rzekły drżącym głosem — chciałybyśmy, aby z nas dzieci znowu uczyć się mogły a nie myszy jadły.

I westchnęły głęboko, a za niemi zwolna, poczęło znowu wzdychać, zebrane pod dachem towarzystwo. I dzwoneczek nawet jęczał z cicha w nadziei, że ktoś może usłyszy ich skargi.

A. Z.

U cioci Polci.*)

Zimna i deszcze w tym roku wcześniej się zaczęły, o zabawach na świeżem powietrzu nie było co myśleć, bywały nawet dni tak niepogodne, że i na spacer trudno wyjść było. To też dzieci przypomniały sobie obietnicę cioci i dalej w prośby:

— Droga, kochana cioteczko — prosiła Zosia — powróćmy do naszych zabaw wieczornych, i wie ciocia, nie zwlekając dziś zaraz zasiądziemy na dawnych miejscach, zapalimy lampę i zabierzemy się do roboty.

— I owszem — odrzekła ciocia — ale kto mi powie jakie to było ostatnie zwierzę któreśmy wycięli?

— Krówka — zawołał Kazio.

— A potem mieliśmy zrobić żyrafę — wtrąciła Irenka.

— A czy wiesz, Irenko, jak żyrafa wygląda?

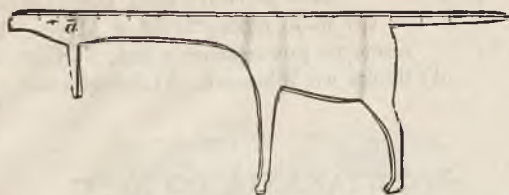
— Ma długą szyję, malutką główkę i... i nic już więcej nie wiem — odpowiedziała Irenka.

— A ty Kasiu, co mi powiesz o żyrafie?

Ale okazało się, że ani Kazio, ani starsze dzieci nie widziały nigdy tego zwierzęcia, więc ciocia Polcia wzięta

*) Ciąg dalszy przerwanych na czas letni w N-rze 24 zabawek i robótek z papieru. (Przyp. Red.)

się sama do roboty. Ucięła kawałek papieru 8 i pół cala długi a 6 szeroki, naznaczyła, wyrysowała i wycięła żyrafę (fig. 23).



(fig. 23).

— Zapomniałam, czy żyrafa ma rogi? — spytała Zosia.

— A jakże — odrzekła ciocia — ma, ale bardzo niewielkie. Widzicie, że znak *a* umieściłam wprost drugiej kreski, szyję i głowę trzeba zagiąć jak zawsze, a ponieważ żyrafa ma bardzo spadzisty grzbiet, więc trzeba wgiąć w środek górny brzeg papieru, tak jak zrobiliście u bociana (fig. 24).



(fig. 24).

— Jakie to dziwne zwierzę — rzekła Zosia.

— I niekoniecznie ładne — dodała ciocia.

— A mnie się najlepiej podoba — rzekła Irenka.

— Już mamy dużo zwierząt — zauważyła Zosia.

— A tylko jednego ptaka — rzekł Henryś. — Czy ciocia nam nie pokaże jeszcze jakiego innego?

— Mogę wam zrobić gąskę, ale to troszkę trudniejsze.

— To właśnie nam się podoba — zawołał z zapalem Henryś.

— Trzeba będzie bardzo starannie rysować.

— O! to ja nie zacznę — rzekła Zosia.

— Owszem, spróbuj lepiej; dotąd ci się udawało; zresztą dam wam sposób, jak ułatwić rysunek.

— No dobrze, będąc się starała — rzekła Zosia.

— Papier powinien mieć 4 i pół cala długości a 5 cali szerokości. Złóżcie go na pół i poróbcie półcalowe odstępy wzdłuż złożonego i bocznego brzegu.

(d. c. n.)

DŁUG WYDZIECZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Powoli opanowało go dziwne, nieznanne uczucie; serce poczęło mu bić gwałtownie, począł drżeć na całym ciele, aż zęby zacisnąć musiał, by nie dzwoniły jedne o drugie. — Czyżby to była trwoga przed niebezpieczeń-

stwem uciezki? Ach! nie, odwagi mu nie braknie... To wzruszenie gwałtowne wzięło górę nad jego młodemi siłami. Całą wolą zapanował nad sobą i do wieczora pracował jak zwykle.

W nocy znalazł się obok Skałki, zarzucił mu ręce na szyję, przycisnął prawie usta do jego ucha i wyszeptał zaledwie dosłyszalnym głosem swoją tajemnicę. Uradował się pocziwy towarzysz jego niewoli, i gdy już ze wszystkich kątów ozwały się ciężkie oddechy i przeciągłe chrapania, zaczęli rozmawiać swobodniej.

— Gdy będę już w domu — rzekł Janek — uproszę dziadka, aby posłał wykup za ciebie.

— Daj Boże — odpowiedział Skałka — ale to nie tak łatwo, jak się tobie zdaje. — Upadły był na duchu i nadzieja nie miała już przystępu do jego serca.

— Gdybym tylko wiedział, jak się nazywa basza tujszy i miejscowość gdzie jesteśmy!

— Tak, trzeba wiedzieć — powtórzył wieśniak obojętnie.

Dotąd, nigdy nikogo o to nie zapytali.

Teraz rozpoczęły się dla Janka dni niespokojnego oczekiwania — „Może dziś”... wyrazy te pierwsze nasuwały mu się na myśl, gdy tylko budził się ze snu. — Może dziś! powtarzał wśród dnia. Gdy spędzano niewolników na noc, zamieniał się cały w słuch... Kilka dni minęło — żadnego znaku, Janek też już ani razu nie widział swego Tataru. Skałka nie chciał martwić chłopca, ale sam nie wierzył w to obiecane uwolnienie. Przecież, jednej nocy wsunął Jankowi kartkę w rękę i szepnął, że na niej napisano, to co dotąd wiadome im nie było — nazwa miejscowości i imię baszy. Jeden z niewolników, jeniec wojenny, z którym Skałka pracował przy jakiejś budowie, na jego prośbę napisał mu tę kartkę.

Tydzień minął — minęło dni dziesięć... nieskończenie długich. W końcu, jednego wieczora, po nadzwyczaj skwarным dniu, grube i wielkie chmury przysłoniły niebo i nieprzejrzaną ciemnością okryły wszelkie przedmioty; duszno było, choć wiatr szumiał po gałęziach ale nie niósł ochłody; nadleciał z południa, i gorącym swoim tchnieniem ciężkie powietrze robił cięższym jeszcze.

Pierwsi w szeregu niewolnicy już wsuwali się w otwór prowadzący do podziemia przeznaczanego na nocleg, gdy raptem w drugim końcu tego długiego szeregu zrobił się tumult i krzyk; — dozorca stojący u wejścia i przeglądający wchodzących niewolników, zwrócił się żywo w stronę skąd hałas dochodził, a zawołany przez tego, który zamykał pochód, zaczął przeciskać się ku niemu. Janek zrozumiał, że nadeszła stanowcza chwila: — popchnięty przez Skałkę, który znalazł się obok niego, przesunął się nieznacznie w tył i wy dostał z ciżby, która przystanęła nad słuchując — ale, że naciskali jedni drugich i tu więc wszczął się gwar, zmieszany z brzękiem kajdan. Janek, pod odsłoną nocy ciemnej i powstałego nagle zamieszania, dopadł muru i opierając się o niego ręką począł przesuwając się we wskazanym przez Tataru kierunku. W miarę jak się oddalał, głosy ludzkie i brzęk kajdan cichł coraz bardziej, szedł ciągle spiesznie a uważnie — zdawało mu się, że idzie już niezmiernie długo, a zapowiedzianej pochyłości nie czuł pod nogami.

Dzielne to było dziecko! — czuł w sobie odwagę,

i byłby z pewnością wśród dnia mężnie stawił czoło niejednemu niebezpieczeństwu — ale wśród ciemnej nocy, w niepewności, w zupełnie nieznanym miejscu — gdyż znał tylko tę część ogrodów baszy, w której pracował, nieokreślona trwoga przyspieszała mu bicie serca i tamowała oddech. Poczul w końcu, że grunt pod nogami obniża się, razem z murem przy którym postępował. Czyż daleko jeszcze to drzewo tamarksowe pod którym ma oczekiwać przewodnika swego? Wiatr w tej chwili rozsunął chmury na niebie, wyjrzało parę gwiazdek — przy ich blasku ujrzał Janek o parę kroków, ciemne kształty rozgałęzionego drzewa; odetchnął swobodniej, oto jest już u pierwszej mety swej ucieczki — przyspieszył kroku i objął pień drzewa rękami, jakby chroniąc się pod jego opiekę. Jak długo czekać tu będzie na swego przewodnika? A jeżeliby on wcale nie przyszedł? Co sam tutaj pocznie? Teraz dopiero ta myśl błysnęła mu w głowie. Letnia noc tak krótka — rozednieje — ludzie snuć się zaczną — opatrzą się, że go niema między niewolnikami, szukać poczną, no i znajdą go natychmiast.

Jakżeby straszny był wtedy los biednego chłopca! o wiele ta nieudana ucieczka pogorszyłaby jego położenie! Nowy niepokój ogarnął go — przedtem myślał, że byle się dostał pod wskazane drzewo, już będzie bezpieczny, już wszystko pójdzie bez przeszkody — a teraz stokróć mu ciężiej, aniżeli w chwili, gdy począł się przesuwać pod murem.

— O Boże! nie opuszczaj mnie — wywiedź mnie z tej niewoli jak lud Twój wywiodłeś z egipskiej...

(d. c. n.)

SZARADA.

od Wichury dla drogiej rodziców.

Pierwsze to zwierz drapieżny u nas spotykany,
Drugie znown zaimek, wskazującym zwany,
Trzecie to dawna nazwa rzeki z Alp płynącej,
Wszystko zaś społem: znajdziesz wśród roku miesięcy.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Słoń z Nubii.

Ułożyć 6 wyrazów, aby początkowe i końcowe litery złożyły imiona dwóch książąt polskich, walczących o opiekę nad trzecim.

Sylaby: Al — ce — da — do — gha — gier — ko — le — man — ny —
na — ra — ty — ow — tek — zuch

Znaczenie wyrazów: 1) Ciepła odzież. 2) Zwierzęta domowe. 3) Rzeka wpad. do Baltyku. 4) Książę niemiecki znany z bajecznej historii polskiej. 5) Pasma gór w Ameryce północnej. 6) To co wychodzi przy Wieczorach.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Dąb.

Rząd pierwszy oraz pierwsze litery, złożyć mają nazwę kraju w Afryce. 2) Wzniesienie na powierzchni ziemi. 3) Góra na Krecie. 4) Rzeka we Włoszech. 5) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 43.

Szarady: Sa — ma — ra.

Łamigłówek sylabowej:

- 1) Brzoza. 2) Anna. 3) Babilon. 4) Igor. 5) Eleonora. 6) Laszka. 7) Adryan. 8) Tunel. 9) Olimp.

Babie lato.

Łamigłówki w kwadracie:

A n t y g o n a
O l e ś n i c a
K a p s t a d t
K o l u m b i a
P a r a h y b a
W a r s z a w a
R a c i b o r z
Ś w i d n i c a

Skrzynka do listów.

Pani Maryi Sar. Tym razem zgadzamy się na ustępstwo, ale prosimy o bliższe szczegóły co do biednych dzieci, o których Sz. Pani wspomina.

Puszczykowi z Pilawy za otrzymane łamigłówki dziękujemy, postaramy się je zużytkować w krótkim czasie. Przy ostatniej, pomieszczonej w zeszłym numerze *Wieczorów*, przez nieuwagę podpis twój, jako autora, opuszczony został.

Maniusi i Waci K. w imieniu biednych dzieci tak hojnie przez was obdarzonych, zasyłamy serdeczne podziękowanie.

Ciekawymi wiadomościami obdarzyłaś nas znowu *Wichuro*, a z pewnością nie mniejszą robi nam przyjemność otrzymywanie twoich liścików, jak tobie pisanie ich do Redakcyi. Pojmujemy twoje wzruszenie i żal na widok bliskiego pożaru, który zniszczył dobytek i plon pracy całorocznej kilku wieśniaków, sądzymy wszakże, że nie pozostaną bez pomocy. Co do artystek-malarek, to dawniejszymi czasy zarówno u nas, jak i w innych krajach kobiety nie garnęły się do malarstwa i nie zasłynęły na tem polu. Dopiero w tem stuleciu spotykamy w historii sztuki imiona kobiece. Wśród niezycujących malarek naszych najwięcej znaane są: Emilia Duksza-Dukszyńska i Anna Bilińska. Z biegiem czasu jednak pojawia się coraz więcej talentów niewieścich.

Prenumeratorowie wnoszący całoroczną opłatę rub. 6 tak w Warszawie, jak i na prowincyi za „*Ogrodnik polski*“ dwutygodnik poświęcony sprawom ogrodnictwa krajowego *wprost w Redakcyi*, otrzymają premium w nasionach wyborowych odmian i nowości.

Adres Redakcyi: ul. Mazowiecka Nr. 11.